

Klasyka literatury



e-tekst.pl
twoja czytelnia

WIARA W CZŁOWIEKA

Jack London

Powiem ci, co zrobimy. Rzucimy kości.

— Dobrze — zgodził się drugi mężczyzna i odwracając się do Indianina, który w kącie chaty naprawiał narty, rzekł:

— Słuchaj, Billebedam! Skocz no, mój drogi, do chaty Olesona i powiedz, że chcemy pożyczyć od niego kubek z kośćmi.

To niespodziewane żądanie podczas narady nad płacami robotników, nad drzewem i żywnością zaskoczyło Billebedama. Nigdy nie widział, żeby biali ludzie pokroju Pentfielda i Hutchinsona zasiedli do gry w karty czy w kości przed ukończeniem dziennej pracy, a teraz był ranek. Ale jego twarz obojętna, jak przystało na prawdziwego Indianina znad Yukonu, ani drgnęła, gdy wkładał rękawice i wychodził z chaty.

Choć była już ósma, na dworze panowały ciemności, toteż w chacie paliła się łojowa świeca zatknięta w szyjkę butelki po whisky, stojącej na sosnowym stole wśród nie sprzątniętych brudnych cynowych naczyń. Łój spływający z niezliczonych świec zastygł na długiej szyjce w miniaturowy lodowiec. W małej izbie, która tworzyła całe wnętrze chaty, panował taki sam nieporządek jak na stole. Przy jednej ze ścian, w głębi, stała piętrowa prycza z kocami w nieładzie, tak jak je zostawili ludzie, wygrzebując się spod nich rano.

Lawrence Pentfield i Corry Hutchinson byli milionerami, choć wcale na to nie wyglądali. Nie mieli w sobie nic niezwykłego i mogliby uchodzić za klasyczny wzór drwali w każdym obozie w Michigan. Ale za drzwiami chaty, w mroku, gdzie ziały dziury, wiele ludzi ciągnęło kołowrotem z ich głębi ziemię, żwir i złoto. Inni, za piętnaście dolarów dziennie, łupali skałę na dnie tych sztolni. Każdego dnia wydzierano skałom i windowano w górę złoto warte tysiące dolarów, a należało ono do Pentfielda i Hutchinsona, których zaliczano do najbogatszych królów Bonanzy.

Po wyjściu Billebedama Pentfield pierwszy przerwał ciszę układając na stos brudne talerze i bębniąc kostkami palców po opróżnionym blacie stołu. Hutchinson objaśnił kopczą świecę i zamyślony rozcierał sadzę z knota między opuszkami wskazującego palca i kciuka. — Słowo daję, że też nie możemy jechać obaj! — zawołał nagle. — Wtedy nie byłoby o czym gadać!

Pentfield spojrzał na niego chmurnym wzrokiem.

— Gdyby nie twój cholerny upór, też nie mielibyśmy o czym gadać. Masz tylko wstać i odjechać. Ja tu wszystkiego, dopilnuję, a na przyszły rok przyjdzie moja kolej.

— Czemu to ja miałbym jechać? Nikt na mnie nie czeka tak... — A twoja rodzina? — szorstko przerwał Pentfield.

— ...jak na ciebie — ciągnął Hutchinson. — To znaczy... myślę o dziewczynie, a ty o tym wiesz. Pentfield posępnie wruszył ramionami.

— Chyba może jeszcze poczekać.

— Czekaj już od dwóch lat.

— Jak poczeka trzeci, też ją poznam, nie zestarzeje się.

— To już będzie trzy lata. Pomyśl, chłopie, trzy lata na tym krańcu ziemi, gdzie diabeł mówi dobranoc!

Hutchinson uniósł rękę niemal z jękiem.

Był dużo młodszy od swego współnika, nie miał jeszcze dwudziestu sześciu lat, ale z jego twarzy przebijała tęsknota, jak z twarzy ludzi, którzy całą duszą tęsknią za czymś, czego życie uporczywie im odmawia. Na twarzy Pentfielda malowała się taka sama tęsknota, a jej ciężar przygarbił mu ramiona.

— Śniło mi się dziś — powiedział — że byłem u Zinkanda. Muzyka gra, szklanki brzęczą, ludzie gadają, kobiety się śmieją, a ja zamawiam jajka... tak, mój panie, jajka sadzone i na miękko, i w szklance, i w postaci jajecznicy, i każdej innej. A wcinam tak, że mi nie nadążają podawać.

— Ja bym tam zamówił sałatę i świeże jarzyny — oblizując wargi skrytykował Hutchinson — a do tego duży krwawy stek, młodą cebulkę i rzodkiewkę, taką, co pęka w zębach.

— I ja bym to zjadł po jajkach, gdybym się nie obudził. Pentfield podniósł z podłogi wysłużone banjo i zaczął brzdąkać. Hutchinson drgnął i westchnął ciężko.

— Przestań! — krzyknął z nagłym gniewem, gdy Pentfield uderzył w wesoły, pełen temperamentu rytm piosenki. — Zwariuję! Nie wytrzymam tego!

Pentfield cisnął banjo na pryczę i zadeklamował:

Tego, co gadam, słaby nie wyzna przed światem — Jam Wspomnienie i Męka... Słuchaj — jam twój Gród! Jam to wszystko, co nosi wieczorową szatę...

Hutchinson drgnął raz jeszcze i oparł głowę na stole. Jego kompan wrócił do monotonnego bębnienia palcami po stole. Głośny huk pękającej deski w drzwiach zwrócił jego uwagę: to białe jęzory mrozu wciskały się do chaty. Pentfield zanucił:

Owce w zagrodach... pusty sad, I losoś prze ku morzu... O luba, jakże bym ci rad Me serce u stóp złożył...

I znów zapadła cisza, którą przerwał dopiero Billebedam wchodząc do chaty i stawiając kubek z kośćmi na stole.

— Bardzo zimno — rzekł. — Oleson mówi, że Yukon zamarzł w nocy.

— Słyszysz, człowieku! — krzyknął Pentfield klepiąc Hutchinsona po ramieniu. — Ten, kto wygra, jutro rano o tej porze będzie już w drodze do ludzkiego kraju!

Uniósł kubek i z ożywieniem potrząsnął kośćmi.

— Jak gramy?

— W zwykłego kostkowego pokera — odparł Hutchinson. — Jazda, rzucaj!

Pentfield z brzękiem zmiotł naczynia i wyrzucił na stół pięć kostek. Obaj spojrzeli niecierpliwie. Nie wypadła żadna para, a piątka była najwyższym oczkiem.

— Guzik! — jęknął Pentfield.

Po długim zastanowieniu zebrał wszystkie pięć kostek i wrzucił do kubka.

— Na twoim miejscu rzucałbym do piątki — doradził Hutchinson.

— Ale tam, zaraz sam zobaczysz — odparł Pentfield wyrzucając kości.

I też nie było pary, tylko sekwens od dwóch do sześciu.

— Znów guzik! — stęknął Pentfield. — Nie masz co rzucać, Corry, i tak musisz wygrać.

Hutchinson bez słowa zebrał kości, potrząsnął nimi, z zamachem wyrzucił na stół i ujrzał, że także wypadła mu szóstka.

— Guzik jak u ciebie, ale zdobędę się na coś lepszego — powiedział zbierając cztery kostki i rzucając do szóstki. — Tu jest coś, co cię pobije.

Ale tym razem wypadła dwójka, trójka, czwórka i piątka — ani lepiej, ani gorzej niż Pentfieldowi. Westchnął więc i powiedział:

— To się zdarza raz na milion.

— Nawet nie na milion — rzekł Pentfield łapiąc kości i szybko wyrzucając je na stół. Ukazały się trzy piątki, a po długiej zwłoce, przy drugim rzucie wypadła mu w nagrodę czwarta. Zdawało się, że Hutchinson stracił resztę nadziei.

Przy pierwszym rzucie wypadły jednak trzy szóstki. Wróciła mu więc otucha, a w oczach Pentfielda zbudziło się powątpiewanie. Hutchinson miał jeszcze jeden rzut: jeszcze jedna szóstka, a wyruszy po lodzie ku morzu, do Stanów Zjednoczonych. Potrząsnął kośćmi, już, już miał je rzucić, ale zawahał się i znowu potrząsnął kubkiem.

— Rzucaj! Rzucaj! Szkoda czasu, nie przeciągaj! — ostro krzyknął Pentfield gnąc z hamowanego podniecenia paznokcie o blat stołu.

Kostka potoczyła się i zobaczyli szóstkę leżącą oczkami do góry. Patrzyli na nią w głębokiej ciszy. Hutchinson spojrział ukradkiem na partnera, który jeszcze bardziej skrycie pochwycił to spojrzenie i zagryzł wargi, usiłując okazać zupełną obojętność.

Wtedy wybuchnął śmiechem i wstał od stołu. Śmiał się nerwowo, z zażenowaniem. Był to jeden z tych wypadków, kiedy lepiej jest przegrać niż wygrać. Podszedł więc do Pentfielda, który odwrócił się do niego z wściekłością:

— Milcz, Corry, milcz! Wiem, co chcesz powiedzieć... Że wolałbyś zostać, żebym ja pojechał i tak dalej. Ale milcz. Masz rodzinę w Detroit, z którą chcesz się zobaczyć, i to wystarczy. A poza tym możesz mi załatwić to, co sam miałem załatwić, gdybym pojechał.

— Chodzi ci o?...

Pentfield wyczytał resztę pytania w oczach przyjaciela i odpowiedział:

— Tak, właśnie o to. Możesz mi ją przywieźć. Cała różnica, że ślub odbędzie się w Dawson zamiast w San Francisco.

— Człowieku! — zaproponował Corry Hutchinson. — Zastanów się u Boga Ojca, jak mogę ci ją przywieźć? Nie jesteśmy rodzeństwem i w dodatku nawet jej nie znam. Nie wypada, byśmy podróżowali we dwójkę. Oczywiście, wszystko będzie w porządku... my to wiemy, ty i ja, ale pomyśl, co ludzie powiedzą!

Pentfield zaklął pod nosem posyłając wszystkich ludzi do piekła, gdzie jest cieplej niż na Alasce.

— Gdybyś chciał tylko posłuchać spokojnie, a nie zaraz unosić się swoją przekłętą dumą, zobaczyłbyś — zaczął Hutchinson — że w tych warunkach nie mogę inaczej postąpić, jak pozwolić ci jechać tego roku. Następny rok jest tylko za rok i wtedy ja pojedę.

Pentfield potrząsnął głową, choć widać było, że walczy z pokusą.

— Nie z tego, Corry, mój chłopie. Cenię twoją dobroć i wszystko, ale nic z tego. Wstydzilibym się, ile razy bym pomyślał, że orzesz tu za mnie.

Nagle uderzyła go jakaś myśl. W przystępie zapału przekopał i rozrzucił swoje posłanie, wyciągnął notes i ołówek i zasiadłszy przy stole, zaczął pisać szybko i bez namysłu.

— Masz — rzekł wciskając nagryzmołony list przyjacielowi. — Oddasz to tylko i wszystko będzie w porządku.

Hutchinson przebiegł list wzrokiem i odłożył na stół.

— A skąd wiesz, że jej brat zechce ruszyć w tę cholerną podróż tutaj? — zapytał.

— O, robi to dla mnie... i dla swej siostry. Widzisz, to taki żółtodziób, że nigdy nie puściłbym jej z nim samym. Ale z tobą podróż będzie i łatwa, i bezpieczna. Gdy się stąd wydostaniesz, od razu jedź do nich i przygotuj ją do tego. Potem możesz skoczyć do rodziny, do wschodnich stanów, a na wiosnę ona i brat będą już gotowi do drogi. Polubisz ją od pierwszego spojrzenia, jestem tego pewny. A z tej fotografii od razu ją poznasz.

Z tymi słowy otworzył kopertę zegarka i pokazał wklejoną w nią fotografię dziewczyny. Corry Hutchinson przyglądał się zdjęciu z rosnącym zachwytem w oczach.

— Na imię jej Mabel — ciągnął Pentfield. — Musisz też wiedzieć, jak ją znaleźć. Gdy wysiądziesz we Frisco, weźmiesz dorożkę i powiesz tylko: „do mieszkania pana Holmesa, Myrdon Avenue”. Wątpię nawet, czy potrzebujesz dodawać Myrdon Avenue. Dorożkarz będzie wiedział, gdzie mieszka sędzia Holmes.

— Wiesz — podjął po chwili — nie byłoby źle, gdybyś mi tak przywiózł parę drobiazgów potrzebnych... potrzebnych...

— Potrzebnych człowiekowi żonatemu — wypalił Hutchinson z uśmiechem.

Pentfield odpowiedział uśmiechem.

— Oczywiście — mówił — trochę obrusów, serwetek, prześcieradeł, powłoczek i tak dalej. I mógłbyś kupić jakiś porządny serwis. Rozumiesz, ciężko jej będzie przyzwyczać się do naszych warunków.

Wyślij to wszystko statkiem przez Morze Beringa. A co byś powiedział o pianinie.

Hutchinson gorąco poparł ten pomysł. Zapomniał o dawnych obiekcjach i rwał się do swojej misji.

— Słowo daję, Lawrence — powiedział przy końcu narady, gdy już wstali od stołu — przywiozę ci twoją dziewczynę z szykiem i paradą. Będę gotował i dbał o psy, a bratu pozostanie tylko troska o jej wygody i o to, co ja przegapię. A możesz być pewien, że mało przegapię!

Nazajutrz Lawrence Pentfield po raz ostatni uścisnął rękę przyjaciela i patrzył, jak biegnie on za psami i znika na lodzie Yukonu w drodze do morza i świata. Potem wrócił do swej kopalni w Bonanzie, teraz tysiąc razy bardziej ponurej niż przedtem, i śmiało wkroczył w długą zimę. Musiał pracować, dozorować ludzi, kierować wykopami, by szły za biegiem złotodajnej żyły, ale serca w to nie wkładał. Nie wkładał też serca w żadną inną pracę, dopóki na wzgórzu za kopalnią nie zaczęły wyrastać zręby nowej bierwionowej chaty. Była duża, ciepła i składała się z trzech wygodnych izb. Każdą belkę ociosano ręcznie, gładko i w kwadrat: kosztowny kaprys, skoro cieśla brał po piętnaście dolarów dziennie. Ale dla Pentfielda nic nie było za drogie, gdy chodziło o dom, w którym miała mieszkać Mabel Holmes. .

Budował więc ten dom i podśpiewywał:

O luba, jakże bym ci rad me serce u stóp złożył.

Przybił też sobie nad stołem kalendarz i każdego ranka, zaraz po wstaniu, zdzierał jedną kartkę i liczył, ile jeszcze dni pozostało do chwili, kiedy na wiosnę jego przyjaciel przypędzi po lodzie Yukonu. Miał też inny kaprys: nie pozwalał nikomu spać w nowej chacie na wzgórzu. Musiała tak świeża doczekać przybycia Mabel, jak świeże były jej ociosane w kwadrat belki. Po ukończeniu budowy zawiesił na drzwiach kłódkę. Nikt nie wchodził do środka prócz niego. Sam spędzał w chacie długie godziny i gdy z niej wychodził, z twarzy biła mu radość, a w oczach miał szczęśliwe, ciepłe błyski. ”

W grudniu otrzymał list od Corry Hutchinsona. Corry tylko co widział się z Mabel Holmes. Pisał, że jest taka, jak być powinna żona Lawrence'a Pentfielda. Był nastrojony entuzjastycznie, a Pentfieldowi serce rosło, gdy czytał ten list. Potem przyszły nowe listy, jeden gonił drugi, a nieraz nadchodziły po dwa, trzy razem, gdy poczta się spóźniła. Wszystkie były w tym samym tonie. Corry właśnie wrócił z Myrdon Avenue, właśnie idzie na Myrdon Avenue albo właśnie jest na Myrdon Avenue. Ciągłe przy tym siedział w San Francisco i nawet słówkiem się nie zająknął o wyjeździe do Detroit.

Lawrence Pentfield zaczynał myśleć, że przyjaciel zbyt długo przebywa w towarzystwie Mabel

Holmes, jak na człowieka, który pojechał odwiedzić rodzinę. Parę razy przyłapał się nawet na lekkim niepokoju, choć byłby bardziej niespokojny, gdyby tak dobrze nie znał Mabel i Hutchinsona. Z drugiej strony Mabel dużo pisała o Corrym. W tych listach można było też wyczuć odrobinę lęku graniczącego nawet z niechęcią do podróży po lodach Yukonu i do ślubu w Dawson. Pentfield odpisał w serdecznych słowach i wyśmiał jej obawy, które brał raczej za zwykły strach przed niebezpieczeństwem i niewygodami niż za naturalną dziewczęcą nieśmiałość.

Ale długa zima i nużące wyczekiwanie po dwóch poprzednich, równie długich zimach odbiły się na nim. Dogłądanie ludzi i śledzenie biegu złotodajnej żyły nie mogły urozmaicić szarżyzny dnia, toteż pod koniec stycznia zaczął czasem jeździć do Dawson, gdzie przy stołach gry mógł się trochę zapomnieć. A że mógł sobie pozwolić na przegraną — wygrywał i „szczęście Pentfielda” stało się już przysłowiowe wśród graczy w „faraona”.

Szczęście to dopisywało mu do połowy lutego. Nie wiadomo, jak długo by to jeszcze trwało, bo po jednej grubej grze nigdy już nie siadł do kart.

Zdarzyło się to w „Operze”. Przez godzinę wyglądało, że każda karta, na którą Pentfield postawił, musi wygrać. W chwilowej przerwie po jednym rozdaniu, kiedy dający karty tasował talię, Nick Inwood, właściciel zakładu, powiedział ni w pięć, ni w dziesięć.

— Widzę, Pentfield, że ten twój wspólnik dobrze sobie bryka na swobodzie.

— Niech się chłop trochę rozerwie — odparł Pentfield. — Zwłaszcza gdy sobie na to zasłużył.

— Każdy ma swój gust — roześmiał się Nick Inwood — ale ja tam nie nazwałbym małżeństwa dobrą rozrywką.

— Corry się żeni?! — wykrzyknął Pentfield nie posiadając się ze zdumienia i nie wierząc własnym uszom.

— Tak — odparł Inwood. — Czytałem w gazetach z Frisco, przywiezionych po lodzie dziś rano.

— A z kim się żeni? — zapytał Pentfield z wyrazem stoickiego spokoju, jak człowiek, który węszy pułapkę i wie, że lada chwila zaczną się z niego głośno śmiać. Nick Inwood wyciągnął gazetę z kieszeni i zaczął ją przeglądać, mówiąc jednocześnie:

— Nie mam pamięci do nazwisk, ale coś jakby Mabel... Mabel... o, macie tu — Mabel Holmes, córka sędziego Holmesa... nie wiem, co to za jeden.

Lawrence Pentfield nawet okiem nie mrugnął, choć zdziwił się, skąd ktoś na Północy może znać nazwisko jego narzeczonej. Zimnym spojrzeniem powiódł po twarzach szukając na nich jakiegoś przelotnego znaku, że ci ludzie obrali go sobie za cel żartów, ale nie dostrzegł nic prócz zwykłej ciekawości.. Odwrócił się więc do Nicka i rzekł z chłodnym spokojem:

— Inwood, założę się o równe pięćset dolarów, że tego, co powiedziałaś, wcale nie ma w tej gazecie.

Nick patrzył na niego uśmiechając się z ironicznym zdumieniem.

— Idźże, smyku. Nie chcę twoich pieniędzy.

— Tak myślałem — uśmiechnął się kpiąco Pentfield i wracając do gry obstawił dwie karty.

Nick Inwood zaczerwienił się i jakby sam sobie nie wierzył, raz jeszcze uważnie przesunął oczami po szpalcie gazety. Potem odwrócił się do Pentfielda.

— Słuchaj no — powiedział podnieconym, urywanym głosem. — Nie pozwolę ci na to, wiesz!

— Na co mi nie pozwolisz? — wyzywająco zapytał Pentfield.

— Powiedziałaś, że kłamię.

— Nic podobnego. Powiedziałem tylko, że próbujesz robić głupie żarty.

— Grajcie, panowie — wtrącił się dający karty.

— Mówię ci, że to prawda — upierał się Nick Inwood.

— A ja ci powiedziałem: stawiam pięćset dolarów, że tego nie ma w tej gazecie — odparł Pentfield rzucając na stół ciężki worek ze złotym piaskiem.

— Przykro mi cię ograbiać — rzekł Inwood wciskając mu gazetę do ręki.

Pentfield zobaczył, choć własnym oczom nie wierzył. Spojrzawszy na tytuł: „Młody Lokinwar przybył z Północy”, przeleciał przez tekst aż do miejsca, gdzie dwa złączone nazwiska — Mabel Holmes i Corry Hutchinson — uderzyły jego wzrok. Wtedy spojrzał na nagłówek gazety. Była to gazeta z San Francisco.

— Bierz pieniądze, Inwood — powiedział z nerwowym uśmiechem. — Trudno przewidzieć, co nawyrabia mój wspólnik, gdy raz zacznie. — Potem wrócił do gazety i przeczytał całą wzmiankę słowo po słowie, bardzo wolno i bardzo uważnie. Nie mógł dłużej wątpić Paktem niezaprzeczalnym było, że Mabel Holmes wyszła za Corry Hutchinsona, „jednego z królów Bonanzy”, jak go określono, „wspólnika Lawrence'a Pentfielda (dotąd nie zapomnianego w sferach towarzyskich naszego miasta), który razem z tym dżentelmenem posiada jeszcze inne bogate złoża w Klondike”. Przy samym końcu wyczytał: „jak mówią, młoda para odwiedzi Detroit, a potem wyruszy w prawdziwą podróż poślubną do fascynującego Klondike”.

— Zaraz wracam, zatrzymajcie moje miejsce przy stole — rzekł wtedy wstając i biorąc sakiewkę, która tymczasem dotarła już do wagi i wróciła lżejsza o pięćset dolarów.

Potem poszedł ulicą i kupił gazetę z Seattle. Zawierała tę samą wiadomość, choć nieco krótszą: Corry i Mabel pobrali się niewątpliwie. Wrócił wówczas do „Opery” i znowu zasiadł do gry. Zażądał, by nie ograniczać stawki.

— Zabiera się do dzieła — zaśmiał się Nick Inwood, ruchem głowy udzielając zgody bankierowi. — Chciałem pójść do składów Kompanii, ale teraz zostanę i popatrzę na twoje zwycięstwo. — I rzeczywiście Pentfield zwyciężył po dwugodzinnej hazardowej grze, kiedy to bankier odgryzł koniuszek świeżego cygara, potarł zapałkę i oznajmił, że bank został rozbity. Pentfield zgarnął czterdzieści tysięcy dolarów, uściśnął rękę Nickowi Inwoodowi i oświadczył, że już nigdy więcej nie siądzie do gry przy jego stole ani przy żadnym innym.

Nikt nie wiedział i nawet się nie domyślał, że zraniono go, co więcej, zraniono bardzo boleśnie. Na oko nic się nie zmieniło w jego postępowaniu. Przez tydzień pracował jak zwykle, aż w portlandzkiej gazecie przeczytał sprawozdanie ze ślubu Hutchinsona. Wtedy poprosił jednego z przyjaciół, by przypilnował kopalni, i ruszył za psim zaprzęgiem w górę Yukonu. Zmierzał ku morskiemu szlakowi, dopóki nie dotarł do Białej Rzeki i nie skręcił w nią. W pięć dni później napotkał myśliwski obóz Indian znad tej rzeki. Wieczorem odbyła się tam wielka uczta, podczas której zasiadł na honorowym miejscu obok wodza. Następnego ranka pognął swe psy z powrotem ku Yukonowi. Ale nie podróżował już sam. Tego wieczoru młoda kobieta nakarmiła jego psy i pomogła mu rozbić obóz. Utykała nieco, bo w dzieciństwie okaleczył ją niedźwiedź. Nazywała się Lashka i początkowo bała się tego dziwnego białego człowieka, który przybył z Nieznanego, nie przemówił do niej, nie spojrzał na nią i pojął za żonę, a teraz uwoził w Nieznane. Ale Lashce powiodło się lepiej niż większości indiańskich dziewczyn, które na Północy zostawały wybrankami białych ludzi. Ledwie bowiem stanęli w Dawson, ksiądz według zwyczaju białych usankcjonował ich poprzedni barbarzyński ślub. Z Dawson, gdzie wszystko wydawało jej się cudem i bajkowym snem, mąż zabrał ją zaraz na złote działki Bonanzy i wprowadził do stojącego na wzgórzu domu z pięknie ociosanych bali.

To zdarzenie wywołało krótkotrwałą sensację nie dlatego, że Pentfield wziął sobie pod dach Indiankę, ale dlatego, że zawarł z nią legalny związek. Kościelny ślub był jedyną rzeczą, której nikt nie rozumiał. Ale nikt też o nic go nie pytał. Dopóki czyjeś wybryki zbytnio nie obrażały ogółu,

dopóty ogół patrzył na nie przez palce. Mężowie białych żon nie zamykali też drzwi przed Pentfieldem. Ślub zdjął z niego piętno współżycia w konkubinacie z Indianką i oczyścił moralnie, choć byli ludzie, którzy nie podzielali jego męskiego gustu.

Listy ze świata już nie nadchodziły. Sześć sań pocztowych zaginęło przy Wielkim Łososiu. Zresztą Pentfield wiedział, że o tym czasie Corry z żoną musieli już być w drodze, w podróży poślubnej, tej podróży, o jakiej przez dwa ponure lata marzył dla siebie. Na tę myśl gorzki grymas wykrzywił mu usta, ale stał się tylko jeszcze lepszy dla Lashki i poza tym nie zdradzał się z niczym.

Minał marzec i kwiecień zbliżał się ku końcowi, kiedy pewnego wiosennego ranka Lashka poprosiła, by pozwolił jej pojechać w dół rzeczki do oddalonej o kilkanaście mil chaty Siwasza Pete. Jego żona, Indianka znad Rzeki Stewarta, przysłała wiadomość, że jej dziecko niedomaga. Lashka, która uważała się za bardzo doświadczoną w chorobach dziecięcych i była stworzona na matkę, nigdy nie rezygnowała z okazji nianczenia dzieci innych kobiet, jak dotąd pod tym względem szczęśliwszych od niej.

Pentfield zaprzął psy i posadziwszy Lashkę w tyle sań, popędził korytem Bonanzy. W powietrzu pachniało wiosną. Mróz nie kąsał już tak dotkliwie i choć śnieg ciągle jeszcze pokrywał ziemię, szmer i pokapywanie wody świadczyły, że zima rozluźniła swój żelazny chwyt. Szlak czasami uchodził pod wodę, a tu i ówdzie przetarto nowy wokół ziejących w lodzie dziur. W takim to miejscu, gdzie dwoje sanek nie mogło się minąć, Pentfield usłyszał brzęk zbliżających się dzwoneczków i zatrzymał psy.

Ziajany zaprzęg, ciągnący ciężko obładowane sanie, wyłonił się z wąskiego zakrętu. Kierował nim jakiś mężczyzna, który miał coś znajomego w ruchach, a za saniami szły dwie kobiety. Pentfield uważnie spojrzął na mężczyznę przy hamowidle. Poznawszy Corry'ego zeskoczył z sanek i czekał. Był zadowolony, że wziął ze sobą Lashkę. „Spotkanie nie mogłoby wypaść lepiej, nawet gdyby było uplanowane” — myślał. I czekając zastanawiał się, co mu powiedzą, co będą mogli powiedzieć. On sam nie potrzebował nic mówić. To tamci musieli się tłumaczyć, a on gotów był słuchać.

Gdy sanki się zjechały, Corry poznał go i zatrzymał psy. Z okrzykiem „Jak się masz, stary!” wyciągnął rękę.

Pentfield uściśnął ją oziębło i bez słowa. Tymczasem obie kobiety podeszły bliżej — i w tej drugiej poznał Dorę Holmes. Zdjął futrzaną czapkę z powiewającym nausznikiem, przywitał się z Dorą i odwrócił do Mabel. Pochyliła się naprzód, piękna i rozpromieniona, ale zawahała się widząc obojętnie wyciągniętą rękę. Początkowo Pentfield zamierzał powiedzieć „Dzień dobry pani, pani Hutchinson”, ale jakoś to „pani Hutchinson” ugrzęzło mu w gardle, wybąkał więc tylko „Dzień dobry pani”. Sytuacja była tak napięta i niezręczna, że lepszej nie mógł sobie wymarzyć. Mabel zdradzała zupełnie zrozumiałe zdenerwowanie, gdy Dora, którą najwidoczniej zabrano na pośrednika, powiedziała:

— Co się stało, Lawrence?

Nim zdążył odpowiedzieć, Corry szarpnął go za rękaw i odciągnął na bok.

— Słuchaj, stary, co to znaczy? — szepnął wskazując oczami Lashkę.

— Nie rozumiem, co to ciebie może obchodzić — odparł ironicznie Pentfield.

Ale Corry zmierzał prosto do celu.

— Co ta Indianka robi na twoich saniach? Ale zabiłeś mi ćwieka! Jak ja im to wyjaśnię? Mam nadzieję, że znajdzie się jakieś wytłumaczenie. Kto to jest? Czyja to żona?

Wtedy Lawrence Pentfield wymierzył swój cios, a wymierzył go z jakimś zimnym uniesieniem, które do pewnego stopnia miało wynagrodzić mu doznaną krzywdę.

— To moja żona, pani Pentfield — powiedział.

Corry Hutchinson szeroko otworzył usta, a Pentfield zostawił go i wrócił do obu pań. Zgnębiona Mabel trzymała się na uboczu. Zapytał więc Dorę, jak gdyby nigdy nic, jak gdyby świat tonął w szczęściu i radości.

— Jakże pani zniosła podróż? Czy w nocy mróz nie dokuczał? A jakże pani to zniosła, pani Hutchinson? — dorzucił spoglądając na Mabel.

— Ach, ty drogi głuptasie! — wykrzyknęła Dora zarzucając mu w mocnym uścisku ręce na szyję. — Więc czytałeś! Wiedziałam, że coś się musiało stać, bo taki byłeś dziwny...

— Nie rozumiem... — wyjąkał.

— Sprostowano w następnym numerze — paplała Dora. — Nawet, nam przez myśl nie przeszło, że właśnie tamten zobaczysz. Wszystkie inne gazety dobrze podały wiadomość. I właśnie tę nieszczęsną musiałeś zobaczyć!

— Poczekaj! Nie rozumiem, o co chodzi? — pytał Pentfield i serce mu nagle zamarło z przerażenia, bo czuł, że stoi nad brzegiem bezdennej przepaści.

Ale Dora paplała bez opamiętania.

— Kiedy dowiedziano się, że Mabel i ja wyjeżdżamy do Klondike, „Every Other Week” napisał, że po naszym wyjeździe robi się pusto w cieście, zamiast w mieście...

— A więc...

— A więc to ja wyszłam za Corry'ego — odparła Dora. — A ty przez cały czas myślałeś, że to Mabel.

— Rzeczywiście tak myślałem — wolno rzekł Pentfield. — Ale teraz rozumiem. Sprawozdawca pomylił imiona. Gazety z Seattle i Portlandu przedrukowały pomyłkę.

Chwilę stał w milczeniu. Mabel odwróciła się do niego i dojrzał błysk nadziei na jej twarzy. Corry z głębokim zainteresowaniem przyglądał się dziurze na czubku mokasyna, a Dora ukradkiem zerkała na nieruchomą twarz Lashki siedzącej na saniach.

Lawrence Pentfield ujrzał swą ponurą przyszłość. W mdłej perspektywie widział się na saniach za biegnącymi psami, z kulawą Lashką u boku. A potem powiedział całkiem po prostu, patrząc Mabel w oczy:

— Bardzo żałuję. To mi nie przyszło na myśl... Myślałem, że wyszłaś za Corry'ego. Tam na sankach siedzi moja żona.

Mabel Holmes bez sił odwróciła się do siostry, jakby przytłoczyły ją nagle trudy ciężkiej podróży. Dora pochwyciła ją wpół. Corry Hutchinson ciągle przypatrywał się mokasynom. Pentfield szybko powiódł okiem po ich twarzach i odwrócił się do swych sań.

— Nie możemy tu stać przez cały dzień, gdy malec Petego czeka — rzekł do Lashki.

Długi bicz świsnął w powietrzu, psy napały piersiami na szleje, sanki przechyliły się i skoczyły naprzód.

— Corry, słuchaj! — krzyknął odwracając się Pentfield. — Zajmijcie starą chatę. Stoi od pewnego czasu nie używana. Zbudowałem nową na wzgórzu.

Przygotowano na podstawie bookini.pl